Rozmaitości

Dnia 10. Czerwca — Nr 23. — 1837 Roku.

## TRAPIŚCI.

Starożytne probostwo francuzkie Bellefontaine leży w dzikiéj, ale malowniczéj okolicy. Przystępy doń górzyste. Ciemne otaczające je lasy skłaniają mimowolnie do smętności, którą pomnaża jeszcze widok tego niemego siedliska, gdzie śmierć jest za rozkosz uważaną. Była pierwsza po południu, gdyśmy do klasztoru przybyli. Mnisi o tym czasie udają się na krótki spoczynek. Nikt się nie pokazywał; otworzono bramę, weszliśmy na dziedziniec. Na próżno w długich, nizkich, świeżo pobielonych kurytarzach żywéj szukałem istoty. Tylko przytłumiony odgłos kroków moich z daleka mnie dochodził. Nareszcie przewodnik otworzył drzwi, a starzec wyszedł ku nam. Ale spojrzawszy na nas, cofnął się ze zgrozą, zachmurzył czoło, oczy zakrył rękoma i prawą ręką dał porywczo znak, ażebyśmy się cofnęli. Zatrzymawszy się w milczeniu, poglądaliśmy po sobie, nie mogąc pojąć przyczyny tak dziwnego przyjęcia. Na raz spostrzegłem młodą niewiastę, która z nami weszła. Zdawała się nie znać reguły S. Bernharda i sądziła, że jéj także będzie wolno oglądać klasztor; omyliła się, a przywołany przez fortyjana brat ceremoniaryjusz zbliżywszy się ku nam, wyłożył jéj grzecznie przepisy zakonu. Pełną wyrazu była twarz tego mnicha, który nosił habit zakonny, podczas gdy fortyjan ubiorem swoim nie wiele się różnił od włościan z okolicy. Miał strzyżoną głowę, niósł ją wysoko i z przyzwoitością się zachowywał. W postępowaniu jego widać było na pierwszy rzut oka, że się obeznał z osobami wyższego świata. Przystąpił ku nam z powagą; przemawiał z godnością, uroczyście, uprzedzająco.

Brat ceremoniaryjusz, mnich obcych przyjmujący, jestto jedyne ogniwo, którem klasztor trapistów ze światem się łączy. Do niego należy przestrzeganie zasad gościnności; on odpowiedzialny za dobre lub złe mniemanie, jakie odwiédzający o klasztorze powezmą, przeto z pomiędzy mnichów tego na ten stopień obiérają, kto pierwéj dobrze się otarł w społeczeństwach wyższych stanów. Oświécił nas najprzód względem różnych oddziałów zakonu:

»Dzielimy się na trzy klasy,« rzekł, »*bracia choralni* pobiérali niejakie nauki; umieją po łacinie, każdy ma swoje krzesło w kościele i są jak ja ubrani, biało z czarnym szkaplérzem, który wchodząc do kościoła zdejmują. Po nich następują *laicy* piérwszego rzędu. Habit ich ciemny; tam widzisz wćpan kilku w onéj kuźni.«

»Każdy więc tu pracuje?«

»Każdy bez wyjątku. Niegdyś było w tym klasztorze trzech mnichów, a mieli 30.000 frank., rocznego dochodu; teraz mamy tylko 1.500 fr., a jest nas wszystkich ośmdziesiąt. Trzeba zatém dobrze pracować dla zarobienia na kawałek chleba, chociażbyśmy jak najmniéj potrzebować mogli.«

»I przy robocie nie przerywacie milczenia?«

»Milczymy zawsze. Ojciec przeor co rano każdemu robotę wyznacza. Ci nawet co za pługiem chodzą, tylko wzajemnémi znakami porozumiéwać się mogą. Są bracia między nami, którzyby się raczéj katować dali, za nimby bez pozwolenia przełożonego słowo przemówili. Trzecią klasę stanowią *laicy* drugiego rzędu li do posługi używani. Ci pozostają w swoich świeckich sukniach.«

Wszedłszy do kościoła udaliśmy się na chór, na przeciw wielkiego ołtarza. Ceremoniaryjusz

odszedł dla zajęcia swojego krzesła. Dziwny tam uderzył nas widok. Wzdłuż obnażonego białego muru zdawało nam się, że widzimy trzydzieści siedzących trupów, okrytych całunem pogrzebowym. Mieli odsłonięte kaptury i mogliśmy do woli przypatrzéć się tym bladym, wynędzniałym postaciom mnichów; niektórzy jak posągi nie ruszyli się nawet, podczas gdy z ich środka, niby z grobu, zwolna, głuchy, przytłumiony spiéw się odzywał. Spostrzegłem kilka dwudziesto-letnich głów, obok drugich więcéj niż ośmdziesiąt-letnich i nie mogłem pojąć, jak się tu można tak wcześno zamykać, a jeszcze tak późno przebywać.

Służba boża zaczyna się u trapistów o drugiéj po północy jutrznią, dwie godziny trwającą. Odmówiwszy tam krótką modlitwę za umarłych udają się do sali, gdzie każdy pół godziny dla siebie czyta. O czwartéj zaczyna się *primaria* (piérwsza msza) i trwa także pół godziny. Potém następuje publiczna spowiedź w chórze, w obecności wszystkich mnichów. O piątéj idą do roboty wewnątrz klasztoru, a o pół do siódméj zewnątrz. Po obiedzie spoczywają półtoréj godziny, potém znowu pracują. O pół do ósméj wracają mnisi powtórnie do kościoła, dla odspiéwania litanii i *Salve Regina*. Poczém w sali padają na twarz dla modlenia się i każdy dla siebie *miserere* odmawia. Co gdy się skończy, przełożony pokrapia ich święconą wodą, a o pół do dziewiątéj idą wszyscy na spoczynek. — Bracia choralni po nabożeństwie przechodzili koło nas długim kurytarzem. I teraz więcéj do cieni, niż do żyjących istot byli podobni. Sklepienia, mury, ludzie, wszystko było białe, a ta jednakowość koloru napawała pewną nieodgadnioną smętnością, któréj większéj jeszcze uroczystości dodawało głębokie milczenie.

Jeden z trapistów, koło którego trochę prędzéj przeszedłem, podniósł spuszczoną głowę, wpatrzył się we mnie przez chwil kilka dużemi czarnémi oczyma, a potém znowu utkwił je w ziemię. Zdawało się mi, żem już te oczy, to szérokie czoło, te blade, szlachetne rysy twarzy widział kiedyś w zgiełku świata, może na balu, przy uczcie, przy jakiéj uroczystości, albo na bojowisku. Wyraz ten przypominałem sobie ciemno, ale dokładnie. Coś mnie tak dotykało, jak gdyby ta postać stała przede mną w świetnym ubiorze, urokiem młodości i przyjemności ozdobiona. A teraz widziałem ją w długim białym habicie trapisty.

Jestżeto obrzydzenie świata, co wtrąca ludzi do tego przed-grobu żyjących? Bardzo rzadko zdarzać się to musi, bo wątpię, by kto li z tego powodu mógł się na takie skazywać męczarnie. Może niektóre dawne, głęboko ukryte wykroczenia, wielkie namiętności, niepokonana potrzeba spokoju po walkach ze światem... teto raczéj są u trapistów narzędzia prozelityzmu. Przewodnik zaprosił nas do refektarza na skromny obiad. Poszliśmy za nim; zastaliśmy stół nakryty grubym, ale białym obrusem. Zastawiono jajecznicę, sałatę, masło, sér, chléb i owoce. Dla każdego gościa przeznaczono osobną butelkę białego wina. Obiad nasz w porównaniu z obiadem mnichów, byłato uczta sybaryty. Mnisi dostają dziennie tylko dziesięć uncyj chleba, jarzynę gotowaną w wodzie bez masła i soli, cokolwiek mléka i dzbanek wody. W ich sali jadalnéj ujrzysz duże, drewniane, nienakryte stoły, przed każdym z jedzących stawiają czarkę do picia wody, kładą dużą drewnianą łyżkę do poléwki, mniejszą do jarzyny, okrągła drewniana deszczułka zastępuje miejsce talérza, a miasto krzeseł siadają na klocach drewnianych.

»A jeźli,« zapytałem się przewodnika, »który z braci zachoruje; jeźli lekarz rosół z mięsa lub kieliszek wina przepisze?«

»Nie znamy chorób, ani innego lekarza, oprócz lekarza duszy,« odpowiedział.

Milcząc pożywają obiad. Czasami dzwoni przeor, wzywając mnichów do rozpamiętywań o Bogu; wszyscy wtedy kładą łyżki i pogrążają się w dumaniach; po chwili, przeor dzwoni znowu, pozwalając jeść daléj.

Gdy mnisi po skończonym obiedzie do kościoła iść się zabierali, chciałem naprzód ich przepuścić. Ale jeden, ująwszy mnie za ramię, dał znak, bym ich poprzedzał. W drzwiach kościelnych leżał na ziemi pokutnik, ażeby być przez przechodzących deptanym. Widok ten zrobił na mnie tak głębokie wrażenie, że od łez wstrzymać się nie mogłem. Chciałem się cofnąć, lecz mnich idący za mną zatrzymał mnie i stąpił na grzbiet pokutnika, podczas gdy ja go przekroczyłem. Więcéj było takich mnichów, co naśladowali swojego brata, nie wielu tylko poszło za moim przykładem. — Przeor zakonu Bellefontaine przyszedł na

kilka minut dla widzenia nas. Jestto wysoki chudy starzec; twarz jego surowa i groźna, widać w nim przyzwyczajenie bezwarunkowego rozkazywania. Zdaje się, iż dawniéj musiał być żołniérzem. Niczem nie różni się od reszty mnichów, tylko laską w kościele. Nosi jak inni habit z grubego białego sukna, jak inni chodzi w trzewikach drewnianych. On tylko zna nazwiska i przeszłość trapistów, i jemu wszyscy powierzają tajemnice i cierpienia swoje, by odtąd żyli od reszty świata nieznani. Może żaden z śmiertelnych nie słyszał okropniéjszych wyznań, nie widział tak gorzkich łez skruchy? On jako tajeny ojciec i opiekun swoich podwładnych otwiéra wszystkie listy, ale temu, do którego pisane, nie powiada, co w nich zawarte. Jeźli któremu z braci blizki krewny umrze, przeor nazajutrz przy modlitwie przemawia do wszystkich w ten np: sposób: »Bracia moi! módlmy się za matkę lub za ojca jednego z nas, który w Bogu zasnął.«

Brat ceremoniaryjusz ubrał się w czarny szkaplérz, dla oprowadzenia nas po różnych częściach klasztoru. Zawiadomił naprzód, że w pewnych miejscach, jakoto w sali jadalnéj, sypialni, kościele i na galeryi, mówić mu nie wolno, i że tam zapytania nasze bez odpowiedzi pozostaną; będzie się wszelako starał za pomocą znaków stać się nam zrozumiałym.

Oglądaliśmy kościoł i zakrystyję, gdzie wiele relikwij przechowywano. Tuż zaraz jest cmentarz, to jedyne miejsce schronienia się długich cierpień, miejsce, które samo jedno w tych murach witane jest uśmiéchem nadziei. Jakże ten cmentarz jest smutnym i uroczystym! Nie widać tam ani kamienia, ani drzewa, ani kwiatu, na którymby oko spocząć mogło. Wszędzie ciemna, wilgotna ziemia, jak na niwie w porządne brożdy pourana. Tu i ówdzie czarny krzyż z napisem: »Tu spoczywa brat Ludwik,« albo »brat Andrzéj.« I wszędzie te same białe napisy, a na końcu brózdy zawsze grób jeden świeżo wykopany. Przy nim dumają bracia, który tam piérwszy z nich wypocznie. Wykopany w dniu ostatniego pogrzebu, wtedy się dopiéro zamyka, gdy nowy przy nim umieszczą. Szczęśliwy mnich ten, który uczuwa w sobie zaród blizkiéj śmierci. Z jakąż radością przypatruje się temu ciasnemu miejscu, gdzie go spokój oczekuje!

Jadalnia jest na dole, z wychodzącemi na cmentarz oknami, z kąd całkiem przejrzéć go można. Łoża w sypialni oddzielone są od siebie przegrodami z desek. Mnisi spią na gołych tapczanach, jak w więzieniach. W sypialni nigdy się nie pali. W najostrzejszéj zimie nawet, drzący od zimna mnisi, muszą o drugiéj godzinie w nocy wstawać z twardego łoża, by uklęknąwszy na zimnym jak lód marmurze kościelnym, wznosić modły do najdobrotliwszego, do najmiłosierniejszego Boga.

Rok trwa nowicyjat trapistów. Chcący być przyjętym do zakonu, powinien być wieloletnim i bezżennym. Najmniejsze przekroczenie przepisów jest dostateczném do wykluczenia go na zawsze. Wolno mu jest oddalić się skoro zechce; lecz gdy raz wykonał przysięgę, na zawsze umarł dla świata. Nié ma ani własności, ani krewnych, ani imienia familijnego. Wszystko dla niego stracone; wszystkie prawa ludzkości, wszystkie dobrodziéjstwa prawodawstwa są mu wydarte. Wyrzéka się wszelkiéj woli swojéj, i zostaje milczącym niewolnikiem swojego duchownego ojca. Wszystko co dawniéj znał, wiedział, zapomnieć musi. Jestto trup żyjący.

* * *

Do tych szczegółowych o trapistach wiadomości dadajemy z dziennika: *The Newyork Mirror* dwa wypadki, które się w klasztorze trapistów wydarzyły:

»Więzienie,« powiada Wordsworth, »na które sami się skazujemy, nie jest więzieniem. Wiele było takich wydarzeń, iż znoszono dobrowolne cierpienia, które gdyby za karę były nałożone, z trudnością by je natura nasza wytrzymała. Sławny klasztor *la Trapp* dawał światu przykład systematu zaparcia się samego siebie i dzielności ducha, w porównaniu z którym, małemi były cierpienia więzień i okropności wygnania; poświęcano się męczarniom z nigdy nie ostygającą odwagą i ze stałością, któréj nic zachwiać nie mogło.

Hrabiego Albergotti zaraz po usunięciu się jego od świata, odwiedził jeden z najpoufalszych przyjaciół, a chociaż hrabia jak najmocniéj go szanował, w klasztorze jednak widzieć się z nim nie chciał. Wierny przyjaciel nie mogąc tego przenieść na sobie, by na zawsze był z przyjacielem swoim rozłączony, wstąpił także do klasztoru i został członkiem tegoż zakonu.

Odtąd żyli razem przez długi przeciąg czasu, a jednak brabia ani popatrzył się na przyjaciela.

Będzie temu przeszło sto pięćdziesiąt lat jak żył w *la Trapp* mnich pewien, którego tam nawet wychwalano z powodu gorliwości jego w odprawianiu nabożeństwa i wielce skromnego, odludnego życia. Regularnie u ołtarza, a w innym czasie zawsze w celi swojéj, przez lat dwadzieścia, które w klasztorze przeżył, słowa nie przemówił do żadnego z mnichów i niczyjéj nie odwiedził celi. Byłto stary człowiek i widocznie zapadał na zdrowiu. Chociaż sił pozbawiony i potrzebujący wszelkiéj pomocy, jaką byłby otrzymał od troskliwości swych braci, nie zaniedbał żadnéj jutrzni w kaplicy, i teraz nawet nie chciał sobie najmniejszéj pozwolić wygody.

Dnia jednego wstawszy rano uczuł się daleko słabszym. A jednak ani mu na myśl nie przyszło, ażeby z tego powodu zaniedbał którego z obowiązków swoich i owszém poszedł jak zwyczajnie przed wschodem słońca odmawiać przepisane modły. Wracając, z trudnością tylko dostał się do celi. Powoli i chwiejącym się krokiem wszedłszy weń, przymknął drzwi za sobą i padł na łóżko, które —jak wszystkie w klasztorze — było prostym tapczanem, tylko grubym wełnianym kocem nakrytym. Położył się, ażeby umrzéć i był widocznie niespokojnym. W kilka chwil otwierają się drzwi i odwiedza go najbliższéj celi mieszkaniec. Od lat dwudziestu stało się to po raz pierwszy, że inny, nie jéj mieszkaniec, próg ten przekroczył; ale natrętnik nie zdawał się być niepożądanym. Byłto mnich, który również tak długo, jak mieszkaniec celi, zostawał w klasztorze *la Trappe* i lubo najbliższy tegoż sąsiad, lubo z nim razem rano, w południe i wieczór chodził do kaplicy, żaden na żadnego nie popatrzył i ani słowa do siebie nie przemówili.

Wszedłszy do celi przystąpił do umierającego mnicha. »Bracie,« rzekł do niego, a głos jego był niezwykle tkliwym jak na miejsce uczuć obumarłych, »bracie, czy nie mogę ci w czém usłużyć?«

»Czas dla mnie policzony,« odpowiedział umierający. »Chciałem myśli i uczucia moje odwrócić od świata, i wysłać naprzód do nieba, gdzie duch mój wkrótce odpocznie, ale jeden jeszcze węzeł łączy mnie ze światem, a że widzę, iż się zbliża moja ostatnia godzina, tém bardziéj tém ogniwém czuję się być do ziemi przykutym. Wstępując do klasztoru opuściłem na świecie, w wirze rozrywek i gréchów, brata, którego mocno kochałem. Wątpliwości dręczące mnie o los jego, na przypadek, jeźli jeszcze przy życiu pozostaje, są źródłem mojéj obecnie niepokojącéj mnie trwogi. Gdybym mógł jeszcze powziąć o nim wiadomość, sądzę, iż ona nie byłaby bezskuteczną. Jeźli możesz poszlij kogo do mojego brata, donieś mu o udręczenich, któremi nabawia mię przyszłość jego. Mów mu o niezmiernéj ważności religii; zaklinaj go,« tu mówiąc więcéj się jeszcze rozczulił, podniósł się na jednéj ręce i mocno w stojącego się wpatrzył, »zaklinaj go... lecz przebóg!« dodał dziko weń się wpatrując, »kto jesteś?... to rzecz szczególna,« i rzekłszy to z coraz większą wlepiał weń oczy niepewnością. »Twarz ta jest mi znana; lecz nie, to nie on.«

»On!« zawołał tamten, »ón to, brat twój! W kilka miesięcy po twojém do klasztoru wstąpieniu, syty smutnych świata rozkoszy i zachwycony szlachetnym, danym mi przez ciebie przykładem, postanowiłem także tu się pobożności poświęcić. Wstąpiłem do zakonu. Przypadek wyznaczył mi celę do twojéj przypiérającą. Jakkolwiek pełną zapału i tkliwą była miłość moja ku tobie, umyśliłem jednak, dla pokuty za gréchy moje, uczynić w sobie to ciężkie postanowienie, ażebym nie mówił z tobą aż w chwili, gdy który z nas do wiecznego będzie się wybiérał spoczynku. Dłużéj jak lat dziewietnaście słyszałem przez otwór w murze modły twoje o moje szczęście, słyszałem jak nie raz za mną płakałeś. Aczkolwiek ciężkim był dla mnie przymus, iż rozrzewnienie moje w sobie tłumić musiałem, pozostałem wiernym przysiędze, i jak grób milczałem. Zawód mój już prawie także na schyłku; nagrodę wkrótce odbiorę. Milcząc wykonaliśmy na ziemi oswobodzenie duszy, ale w niebie za to, kochany bracie, w niebie, będziemy z sobą rozmawiali!«

Umierający otworzył oczy, mdło zwrócił je ku mówiącemu i westchnął, słabo uścisnąwszy rękę brata. Nie trwało chwili — a już jeden tylko duch żyjący w milczącéj przebywał celi.«

## POEZYJE.

I.

Ty się śmiejesz, ja łzy ronię,
Bo łzy tylko w sercu chowam,
I mój uśmiéch w łzach utonie,
Jeźli roześmiać się zdołam.
Ty się bawisz, ja okrutnie
Długie, nudne liczę chwile;
Ach! bez ciebie głucho, smutnie
W mojéj duszy, jak w mogile.

II.

Patrz, ta gwiazdka, co w dali błyszczy tak jaskrawo,
Że chociaż mgła zaciemnia, dosięgniesz ją wzrokiem
Zda się, że świéci blado i pogląda łzawo,
Jednakże dla twéj duszy i to jest urokiem.
Tak pamięć lat dziecinnych, albo szczęścia chwili,
Gdy ją wywołasz myślą z zamglonéj przeszłości,
Łzą tobie w oku błyśnie, twarz twoję umili,
A uśmiéch tęskny, smutny, na ustach zagości.

III.

Młodzieńcze! powiédz, czemu twoje lica
Taka smętność powleka, a twoja źrenica
Już bladym i tak tęsknym ogniem w oku tleje,
Jak gdybyś nie znał szczęścia lub stracił nadzieję?
Ach! możeś ty za nadto wierzył w serca ludzi,
A utraciwszy wiarę wypiłeś truciznę,
Która zniszczy kwiat życia i zapał ostudzi,
I niezgojoną w sercu pozostawi bliznę!?
O! ten, co szczęście swoje w szczęściu drugich mieści,
Temu szybko i snadnie biedz po życia błoni,
A nie pomnąc na serca własnego boleści,
Brać kwiat szczęścia z przyjaznéj braci swoich dłoni.

KAMILLA K.......

## LIST
### PISANY Z ALGIÉRU DO GALICYI.

Algiér d. 8. lutego 1837.

Od ostatniego listu, pisanego do was przed odpłynieniem naszém z Europy, jeszcze nie wziąłem pióra do ręki, aż dopiéro dzisiaj, bo zbiérałem materyjały, żeby wam coś ciekawego napisać. Nie szukajcie porządku, bo nie podobna temu używać stylu malowniczego, kto duszę swoję z cisnącémi się tłumem uczuciami chciałby przelać piórem na papiér, którego dotkną się ręce wasze. Zaczynam więc od początku: D. 10. października we środę rano zaambarkowaliśmy się w liczbie 75 mężczyzn, siedmiu żón, i czworga dzieci, w ogóle było nas 86 osób. Wsiedliśmy na c. k. fregatę trzymasztową, o 54 działach, zwaną *Gueryiera*, pod dowództwem pułkownika Włocha, imieniem Bandiera, człowieka bardzo zacnego. Służył nam wiatr pomyślny przez całe morze Adryjatyckie, aż do ciasniny Messyńskiéj. Tam zarzucono kotwicę przy brzegu Sycylii, z przyczyny zmiany wiatru. Niepodobna było przebyć tak niebezpiecznéj ciasniny, gdzie tyle skał w wodzie, a obadwa brzegi blizko siebie. Jednakże mimo wielkiéj przezorności dowódzcy fregaty, gdyśmy już byli spokojni, nieszczęśliwym trafem osiadł okręt jedną stroną na piasku, gdzie musieliśmy cały dzień strawić, nim zdołano go za pomocą Sycylijczyków ruszyć daléj. Opuściwszy tę ciasninę, prawie już nad wieczorem wypłynęliśmy na morze Śródziemne i ujrzeliśmy górę wulkaniczną Stromboli, o 4 mil morskich od Messyny odległą. Stoi zupełnie w morzu, jak wyspa. Nie mogliśmy jéj żadnym sposobem, dla braku dobrego wiatru, ominąć. O godz. 12téj w nocy obudziło nas kilku majtków pytając, czybyśmy nie chcieli widzieć wybuch wulkanu. Wybiegłszy natychmiast na pokład, przypatrywaliśmy się z wielkiém podziwieniem temu cudowi natury. Noc była ciemna i cicha i nie daléj byliśmy ztamtąd, jak o kilkaset kroków. Napatrzywszy się do sytu, udaliśmy się na spoczynek, ale ten trwał nie długo. O drugiéj po północy obudziło nas wszystkich nadzwyczajnie rzucanie okrętem na wszystkie strony, bieganie majtków, komenderowanie oficérów, wycie i świst wiatru, huk bałwanów, tłuczenie się po okręcie wszystkiego, co nie było przywiązanem, padanie i rozbijanie się bydląt i ludzi. Woda wpadała aż do dna okrętu w wielkiéj masie, słowem byłato burza nadzwyczajna, która trwała trzy dni i tyleż nocy. Pułkownik służący 33 lat w marynarce mówił, że podobnéj nie doświadczał na żadném morzu, a tém bardziéj na Śródziemném, znaném ze spokojności. W tych trzech dniach byliśmy między życiem a śmiercią. Pułkownik i oficérowie uspakajali nas, sami zaś nie mogli ukryć największéj trwogi. Ostatniéj nocy żadnéj już dyrekcyi nie trzymano na okręcie, wszelki stér był bezużyteczny, zwinięto żagle, a dwu masztom burza wiérzchy połamała. Nawet nie wiedziano, w któréj się stronie znajdujemy; dowódzca mniemał, że w blizkości Kalabryi. Przy całéj umiejętności i doświadczeniu nie mogąc się o kierunku naszym zawiadomić, postanowił wymierzyć głębokość morza. Jeżeli będzie płytko, to naturalnie

musimy być nie daleko brzegu, a natenczas rozbicie się okrętu o skały niezawodne. Kazał się więc uwiązać do liny, a zgłębiwszy wodę zbladł i rzekł do nas: »Polecam Bogu was i siebie.« Odszedł do swojéj kajuty, oczekiwać smutnego przeznaczenia. Lecz dnia następnego ujrzeliśmy znowu górę Stromboli, przed trzema dniami tak cudowną oczom naszym. Złożywszy dzięki Bogu za zachowanie nas przy życiu, udaliśmy się na powrót do Messyny dla naprawy okrętu i wypocznienia majtkom. W sześć dni dopiéro wiatr pomyślny powiał. Dowiedzieliśmy się przez telegraficzną wiadomość Messynie udzieloną, że w czasie téjże burzy i w tém samém miejscu, rozbiło się 5 okrętów kupieckich o brzegi Kalabryi, od których i my nie byliśmy daleko. Cudem prawdziwie Bóg nas zachował! Okręt nasz wcale nie mały, jednak nim, jak lichém czółenkiem, rzucały bałwany, raz pod obłoki, to znowu w głęboką przepaść.

Z Messyny płynęliśmy szczęśliwie aż do brzegów Francyi i kiedyśmy ujrzeli z wielką radością Marsylię, powstała znowu burza okropnie-gwałtowna, która z największą mocą rzucała nami dni sześć i tyleż nocy! Ostatniéj nocy na prawy bok przeważa się fregata, robi się okropny trzask w okręcie, krzyk kobiét i dzieci, rozpacz wszystkich bez wyjątku, wyobrażało nam sąd ostateczny, przepowiedziany ludziom, a tak straszny nawet sprawiedliwym! Tymczasem woda buchała całą siłą w obie bateryje; nareszcie bałwany wpadają na pokład. Widząc koniec życia poleciliśmy ducha Bogu i wpadliśmy w niemy stan odrętwienia, nic nie widząc i nic nie czując. To trwało czas niejaki, w tém okręt na nowo podniósł się, a przyczyna była taka: Kilka bałwanów zwyczajnych połączyło się i utworzyły jeden nadzwyczajny bałwan, który tak silnie uderzył w lewy bok okrętu, że niemal przez trzy sekundy leżał na prawéj stronie. Gdyby najmniejszy bałwan był się dotknął naszego okrętu, bylibyśmy niezawodnie zatonęli, ale że w prawy bok zaczęła bić fala, tym sposobem okręt się sprostował i znowu ocaleliśmy!

Zmuszeni byliśmy nie do Marsylii, ale do Tulonu zawinąć; jednakże burza ciągle trwała i tak silna, że choć w porcie wojennym i tak bezpiecznym, zerwała kotwicę w nocy i uniosła okręt na pełne morze. Natenczas cała osada, zacząwszy od dowódzcy, straciła przytomność. Nareszcie piérwszy, który przyszedł do siebie, krzyknął, ażeby zarzucić śmiertelną kotwicę, zwykle w takich przypadkach używaną. Ta nas dopiéro wstrzymała na miejscu. O biada tym, których nadzieje śmiertelna wstrzymuje kotwica! Rano rozpuściwszy żagle zawinęliśmy na powrót do tulońskiego portu. Można sobie wyobrazić, ileśmy ucierpieli i na co byliśmy narażeni, ale Bóg nas zachował, bo wola jego niedocieczona!

D. 17. listopada r. z. wysiedliśmy z fregaty prosto na okręt parowy francuzki, nazwiskiem *Styx*, a d. 30. przede dniem, bez żadnego przypadku, zarzuciliśmy kotwicę w Algiérze. Tegoż dnia wysadzono nas na ląd. Zastałem tu kilku dawnych towarzyszy. Dają nam żołd żołniérski, to jest 22 franki na miesiąc (frank znaczy tyle co reński w.w. a ma w sobie 20 *sou*). Życie i pomieszkanie nadzwyczaj tu drogie. Jestto kraj nie dawno zdobyty, nie uprawiony, nie mający jeszcze własnych produktów. Po większéj części przywożą je z Francyi. Funt mięsa kosztuje tutaj 8 *sou*; bułeczka chleba sprzedawana u was po 5 kr. w. w. tutaj płaci się 3 *sou*; funt słoniny 18 *sou*; mléka kwatérka 4 *sou*; wieprzowiny funt 12 *sou*; baraniny funt 10 *sou*; masło najdroższe, bo łut 2 *sou*; kartofli funt 3 *sou*; krupek pszennych funt pół czwarta *sou*; mąki pszennéj funt 4 *sou*; kapusty mała główka 6 *sou*. Pomieszkanie, w którém może się pomieścić ledwie pięć osób i to mężczyzn, kosztuje miesięcznie 20 fr. Artykuły tanie są: oliwa, którą świécimy, cytryny, pomarańcze, których dostanie najlepszych cztéry za *sou*, tytoń, tabaka, sól i wszystkie bakalie. Opał bardzo drogi, najwięcéj palą węglami, które sprzedają na funty, funt po 2 *sou*. Polacy nie mający żadnych funduszów, biorą się tu do robót publicznych; otrzymują za dzień od półtora franka do pięciu; to zależy od zdatności, a więc wyżyć można. Oficérom obiecują podwyższyć żołdu do 45 frank. miesięcznie.

Miasto Algiér nie bardzo rozległe, zbudowane jest w guście gotyckim, z ciasnémi ulicami tu i ówdzie sklepionémi dla chłodu, bo skwar słoneczny bardzo tu w lecie dokucza. Teraz ciepło jak u was w maju, a zboże już wielkie, zielone, jak w czerwcu. Jarzyny dojrzałe i prosto je z gruntu na targ wywożą; groch zielony w strączkach i dostanie wszystkich innych przysmaków ogrodowych, a kwiatów gruntowych jest mnóstwo. Pomarańcze i cytryny jeszcze na drzewach. Okolica prześliczna, lecz cudza, smutna, nie może bawić i zdaje się mgłą tęsknoty pokryta! Drzewem figowém, cytrynowém, pomarańczowém, kokosowém, pieprzowém, migdałowém, sandałowém i t. p. w kuchniach palą, zawsze jednak tylko gałęziami. Mieszkańcy niepodobna powiedzić jacy, bo z każdego prawie narodu. Beduini, Murzyni, Negry i Maurowie szczególnie sprzyjają Francuzom. Umiarkowany rząd francuzki nie mógł się im nie podobać. Równe mają przywileje z innymi mieszkańcami. Służą w wojsku francuzkiém z niesłychaną wiernością, i nie było wypadku, aby Beduin zdradził. Straż blokady im powierzają. Biją się nawet ze swoimi ziomkami w czasie wyprawy. — Co do ubioru, sukna tu są nie drogie, robota więcéj kosztuje, jak materyjał. Za bóty nowe trzeba zapłacić 25 fr., za podszycie 15 fr. Praczka bierze od sztuki dość źle wypranéj

4 *sou*. Płócień nie mają tu wcale, bieliznę robią z perkalu i batystu, który dość tani. Materyje jedwabne w pomiernéj cenie. Wojska dużo i bardzo ładnie umundurowane. Flota algierska dość liczna i nader piękna. Parowych okrętów przewozowych ośm. Co środy przychodzi poczta z Francyi. Karnawał odbywa się tu w guście włoskim, całe prawie miasto w maskach; muzyka, tańce, śpiéwy robią bardzo miłe wrażenie. Mieszkańcy są dosyć szczęśliwi. — Zapomniałem jeszcze napisać, że ryby i wina dobre i tanie, zato filiżanka kawy ze śmietanką i ciasteczkiem 12 *sou* kosztuje!

— Ze Lwowa. —

PUBLICZNA WYSTAWA OBRAZÓW.

Kilku przyjaciół ludzkości połączyło się w tym zamiarze, aby bądź całe zbiory swoje obrazów, bądź pojedyncze dzieła sztuki znakomitych mistrzów malarstwa, tak oryginalne, jakoteż kopie, w liczbie przeszło 500 wystawić na widok publiczny, co w cztérech wielkich pokojach i jednéj sali gmachu ratusznego, za pozwoleniem tutejszego król. magistratu i przy tegoż jak najgorliwszéj pomocy, uskutecznioném będzie. Oprócz zamiaru estetycznego, powodem do téj wystawy jest także cel dobroczynny. Z przychodów bowiem ma być utworzony fundusz na stypendyjum dla uczniów tutejszego zakładu głuchoniemych, poświęcających się naukom i umiejętnościom wyzwolonym. Wystawa ta rozpoczęta 8go b. m. trwać ma do d. 22go lipca r. b. od 10téj do 1szej godziny rano, a po południu od 3 do 7 (wyjąwszy przed południem w niedzielę i w dni świąteczne). Za wstęp od osoby (nie kładąc wszakże tamy hojności odwiédzających) płaci się 20 kr. m. k. i dostanie także katalogu, ażeby odwiédzający wystawę, zawiadomieni o nazwiskach malarzów i zaletach wystawionych dzieł sztuki, z korzyścią widziéć i oceniać je mogli. Zwracamy na tę piérwszą w stolicy naszéj wystawę obrazów uwagę miłośników i znawców sztuki malarskiéj, zaręczając, że odwiédzanie téj wystawy, odznaczonéj doborem obrazów, nie tylko z tego przekonania, iż się przyczynili do poparcia szlachetnego zamiaru, lecz oraz pod względem artystycznym, prawdziwą sprawi im rozkosz. Jesteśmy przytém pewni, że kto raz tę wystawę odwiedzi, poweźmie chęć częstego jéj oglądania, tyle istotnego zrobi mu ona zadowolenia. Umieścimy później szczegółowe zdanie sprawy z téj wystawy dzieł sztuki.

* * *

Błędnie zawiadomieni donieśliśmy w Nr. 20. pisma naszego, że wydawany w Krakowie *Kwartalnik naukowy* wychodzić przestał. Odwołując niniejszem tę wiadomość naszę i będąc z dobrego źródła przeciwnie teraz zawiadomieni, szczérze cieszymy się z dalszego wychodzenia *Kwartalnika*, ponieważ dalecy od wszelkiéj stronności, umiemy cęnić chwalebne usiłowania pism użytecznych i życzymy im jak najlepszego i najdłuższego powodzenia.

Nakładem Jana Milikowskiego wychodzi w Lipsku w tłoczni Breikopfa i Härtla, dzieło pod tytułem: »*Zasady sztuki położniczéj dla niewiast téjże sztuce się oddających*, napisane przez Felixa doktora Pfau.« — Dzieło to piękną i czystą napisane polszczyzną, zaleca się jasnym wykładem rzeczy, gruntownością uwag, czerpanych z długiego doświadczenia, a mianowicie samym przedmiotem, który ma na celu dobro ludzkości. Książka ta nie tylko powinna znajdować się w rękach samych niewiast, oddających się sztuce położniczéj, ale nadto i w rękach każdéj matki, chcącéj szczęśliwie odbywać połogi i zdrowego doczekać się potomstwa. Oprócz tego druk i papiér tego dzieła tak jest wytworny, że wydanie to do najpiękniéjszych należéć będzie.

Z Krakowa. Piérwszy zeszyt *Pamiętnika naukowego*, wytłoczony u Stanisł. Gieszkowskiego już jest w handlu i znajdujemy przy nim następującą zapowiedź: *Pamiętnik naukowy* (który przestał był wychodzić, a teraz wznowiony został) obejmować będzie: 1) Rozprawy we wszystkich gałęziach nauk, umiejętności, kunsztów i przemysłu. 2) Opisy krajów i obrazy zwyczajów, obyczajów, osobliwości i t.d. krajowych i zagranicznych. 3) Listy o stanie teraźniéjszym piśmiennictwa polskiego, składające się z rozbiorów nowych dzieł polskich i biblijografii, czyli gazeta literacka. Wychodzi w końcu każdego miesiąca, począwszy od maja 1837 roku. (G. K.)

Literatura sławiańska. Od początku r. 1836 aż do miesiąca października 1836 w Illiryi sławiańskiéj, to jest: u Sławian, Chorwatów, Serbów i Dalmatyńców, ogłoszonych drukiem zostało w narzeczu tameczném 22 książek. W téj liczbie są 4 języko-badawcze, 3 stylistyczne, 1 jeograficzna (Jovice Spiridiona: »Powszechna jeografija,« z dwiema tablicami, w narzeczu serbskiém), 3 pedagogiczne, 2 rachunkowe, 6 nabożnych z kazaniami, a 3 inne teologiczne. Życzylibyśmy, aby p. Gay, redaktor illiryjskiego czasopisma i gazety w Zagrabiu, w piśmie swojém dla pożytku drugich Sławian, doniesienia literackie o rzeczach sławiańskich umieszczał. *(Kwiaty.)*

O trzecim i ostatnim koncercie p. Lipińskiego, danym w Wiédniu (jak już wspomnieliśmy) d. 22. maja, jedno z pism wiedeńskich: *Der Telegraf*, umieściło następujące zdanie: »P. Lipiński pożegnał się z nami tym koncertem, przeto doniesienia nasze o nim zamknąć możemy ogólnémi nad grą jego uwagami. P. Lipiński stoi bezsprzecznie w rzędzie piérwszych obecnie żyjących wirtuozów i na tém stanowisku postawiły go zdania wszystkich znawców i przyjaciół sztuki. Porównanie z Paganinim zdaje się nam pod każdym względem niestosowne. Paganini jestto zjawisko, takiéj całkiem właściwéj sobie i epokę stanowiącéj natury, że nic z nim porównaném być nie może. Do żadnéj nie należy szkoły, lecz własnym poszedł torem, który jest w stanie sprawić zupełną w grze na skrzypcach rewolucyję. Gra p. Lipińskiego okazuje się nam w całkiem innych i całkiem inaczéj postawionych stosunkach. Jestto szlachetne, wzorowe, wykończone oddanie sztuki wirtuoza piérwszego rzędu, jakie tylko instrument w ręku największych mistrzów wykonać zdoła. Widzimy w grze jego panowanie nad tonami i formą jak najzupełniéj wykształcone i wykonane ze spokojnością największego własnego artystycznego przekonania. Działa szczególnie na rozum, mniéj na fantazyję. Pochwały, jakie p. Lipiński w Wiédniu odbiérał, były odpowiedne jego sławie, znakomitemu talentowi i mocy w wykonaniu swéj sztuki. Każda gra jego doznawała jak najzaszczytniejszego przyjęcia, i publiczność wiedeńska umiała wirtuozowi oddać cześć swoję w taki sposób, że uniesie z sobą miłe zapewne przypomnienia pobytu swojego w téj stolicy cesarstwa.«

Mayerbeer pisze właśnie muzykę do wielkiéj opery w pięciu aktach, któréj text wypłynął z dowcipnego pióra pana Scribe.

D. 5. kwietnia r. b. umarła w Lucca w 81. roku życia, *Teresa Bandettini*, poetka na prędce i największa improwizatorka Włoch, któréj wszystkie ziemie włoskie wiły wieńce z wawrzynów, którą Rzym witał z zapałem, a kilka akademij mianowało członkiem swoim. Rymotwórkę tę nazywa Monti *boską Nimfą*, skąpy w pochwałach i surowy Parini przemawiał do niéj, jak do

Safony, a nawet Alfieri mieni ją pierwszą ojczyzny swojej poetką.

Niejaki Chabert cuda robi w Londynie. Każe się zamknąć do piekarskiego pieca, w którym pięć razy więcej pali się drzewa, jak zwykle piekarze używają, i tak długo tam zostaje, dopokąd się surowe mięso z nim razem w piecu będące, nie ugotuje; kładą potém drugi kawałek mięsa i piekę przy nim. To gdy się upiecze, pożywa Chabert z swoimi przyjaciołmi. Na wety jé fosfor i pije arszenik, roztworzony w płyn i pomieszany z kwasem szczawowym. Tomito sztuka nad sztukami!

Biegły chemik i aptekarz profesor dr. Herberger z Kaiserlautern, suszy buraki, trze je na proszek, a potém za pomocą alkoholu oddziela z nich części cukrowe. Tym sposobem dostaje najczystszy cukier i w największéj ilości.

Niejaki Welster w Ipswich zrobił to odkrycie, że kartofle skropione wodą amoniakalną, tracą swój roślinny pierwiastek, i tym sposobem przez rok cały utrzymują w wybornym stanie swoje pożywne części. Potrzeba je tylko na cel ten przez kilka dni skrapiać. Dosyć jest do kilkugarncowego dzbanka wody zmieszać jednę uncyję likworu amoniakalnego. Woda morska te same skutki działa.

Miasto Paryż zrobiło układ z pp. Sechan i Faucheris, na mocy którego ci artyści za nagrodę 100.000 frank. obowiązują się przyozdobić *Hôtel de Ville*, gdzie wesele księcia Orleańskiego z księżniczką Meklenbursko-Szweryńską odbywać się będzie. Artyści ci odjechali do Meklenburga, ażeby odrysować tam, a potém w przyozdobieniach sali wystawić powabne okolice tego kraju.

Pewien złotnik w Nowym-Jorku wynalazł takie kolczyki, które uszom robią podobną usługę, jak okulary oczom. Wynalazek jego składa się z dwóch muszli, tak dalece głos powiększających, że ten dwa, a nawet trzykroć mocniéj do ucha wpada. Postępowanie przytém opisują jako zupełnie proste, i wszystkie dzienniki północno-amerykańskie temu nowemu sposobowi wzmacniania słuchu największe oddają pochwały.

Doświadczenie z kołtunem. Niektóre dzienniki zagraniczne wzmiankowały, że osoby dotknięte tą chorobą, jeżeli przyłożą włosy obce na dołek podpiersiowy, tedy takowe zwijają się. Doniesienie to dało popęd do próby w téj mierze. Pewna osoba od lat wielu cierpiąca tę chorobę, zaczęła przykładać włosy najstaranniej uczesane, na dołek podpiersiowy i takowe w ciągu dni dwóch odejmowała, zbite i skołtunione tak mocno, że żadna sztuka nie potrafiłaby ich rozplątać. Z tego można wnosić, iż często powtarzając to doświadczenie, cierpienia pochodzące z kołtunowéj materyi, rozlanéj w ciele, zmniejszaćby się powinny.

Dla czego u muzułmanów niewiastom do meczetów chodzić nie wolno. Poeta angielski Campbell, czas długi w Algiérze bawiący, zawiera w swojém opisaniu podróży: »Mówią i wierzą powszechnie, że muzułmanie twierdzą, jakoby niewiasty duszy nie miały. To zupełna nieprawda. Pewien maurytański *marabut* (człowiek za świętego uważany) spytany o to przeze mnie, zapewniał, iż w koranie nie ma nic podobnego. »Ale dla czegoż młodym niewiastom waszym nie pozwalacie odwiedzać meczetów?« — »Ponieważ,« odpowiedział na to, »anioł stróż meczetu dostrzegłby w sercach mężczyzn zmysłowe uczczenie kobiet, któreby świątynią znieważyć mogło.«

Menażeryja żebraków. Zewnątrz wschodniéj bramy Paryża i tuż przy saméj drodze, przebywa teraz codzień od rana do wieczora ciekawa menażeryja żebraków. Przechodzący zaledwo pokaże się w tém miejscu, obija się o uszy jego szczekanie czarnego brytana, zastępującego miejsce stróża menażeryi; zwierzę to chwyta przechodzących za suknię i tak długo trzyma, dopokąd kilka *centymów* do obok stojącéj puszki nie wrzucą. Ta cokolwiek na rozbój zakrawająca czynność jest wszelako tylko prostém wymuszeniem artystowskiego honoraryjum. Bo zaraz potém daje się słyszeć marsz wojskowy; jestto żebrak przygrywający na lirze. Za ostatnim téj melodyi tonem, sroka, w takt wyskakując, wzlatuje żebrakowi na wierzch głowy i woła wyraźnym głosem: *Bataillon, à vos rangs!* a pięć czarnych pudlów ustawia się w linii bojowéj. Na jéj komenderunek, również wyraźnym wyrzeczony głosem: *portez arme* i *presentez arme*, psy uzbrojone małemi drewnianemi karabinkami, wykonywują popis wojskowy z dokładnością starych weteranów. Do dania ognia przygotowują się jak żołniérze: posypują proch na panewkę, naciągają kurek, przymierzają, celują i... ofiara pada... to jest wróbel... który tak martwo leży, jak gdyby był od dni kilku zabity. Całe to olimpijskie drama dzieje się wszakże bez kierunku właściciela menażeryi, ten bowiem nieszczęśliwy pozbawiony jest wzroku. Nie zdarza się nigdy by co chybiono w téj przedstawie, tak ogólnie, jakoteż szczegółowo i każdy z patrzących musi oddać sprawiedliwość zmyślności działających zwierząt. Po zachodzie słońca ciemny żebrak, zabierając się do odjazdu, siada na mały wózek, do którego sam brytan w chomąt się wprzęga, by ciągnąć przy pomocy pudlów, do czego przyczynia się także koza (używana może przy nadzwyczajnych widowiskach do skakania po linie); wróbel siada na szczycie słomianego kapelusza swojego pana, a sroka sadowi się wygodnie na brytana grzbiecie. Tym sposobem cała ta karawana codzień regularnie wraca do domu, a ludność Paryża robi jéj miejsce w przejeździe i uważa ją jak towarzystwo filantropijne.

Chrząszcz wybawcą życia. Pewien młody około lat trzydziestu mający człowiek, r. 1793 przebrany, opuszczony i zagrożony deportacyją, błąkając się po Francyi, przebywał właśnie w bliskości miasta Bordeaux. Czas przepędzał na nauce, którą namiętnie lubił, a tą była nauka o owadach. Po drodze zbierał owady i robił nad niemi spostrzeżenia, a rozrywka, jaką mu to zatrudnienie sprawiało, rozchmurzała zasępione jego myśli. Przed bramą miasta wpadł w ręce zgrai obdartych zagorzałych niewiast, od których przytrzymany, do więzienia zaprowadzony został. W sześć godzin skończył się jego proces, bo wyznał kto jest, i nazajutrz miał być stracony. Przy objedzie dniem przed śmiercią rozpowiadał mu dozorca więzienia o samych zbrodniach i traceniach, a w końcu mówił o prezydencie sądu, przytaczając, że ten tak dalece jest zatrudniony krwawym swoim urzędem, iż zaledwo tyle sobie pozwala rozrywki, że na chwilę przejść się może po polu dla — szukania motylów i chrząszczów. Opowiadanie to, jak rzecz naturalna, zwróciło uwagę więźnia, który prędko na szczęśliwą myśl wpadłszy, z małego zbioru swojego wydobył osobliwego chrząszcza i podczas gdy jeszcze dozorca rzecz swoję prawił, przypiął go tajemniczo pod korek butelki. Dozorca spostrzegłszy to, uważał w tém coś niebezpiecznego, a nic nie mówiąc wziął butelkę z chrząszczem i poszedł do prezydenta, dla zdania sprawy z téj czynności. Nie długo trwało, a sam prezydent, jako miłośnik owadów, pospieszył do więźnia i obaj zapominając o wszystkiém, jak przyjaciele, nie jak sędzia i obżałowany, zasiedli do przeglądania zbiorów więźnia. Ten, jakto naprzód przewidział, uratowany chrząszczem i puszczony na wolność przez prezydenta, dostał od niego pieniędzy na drogę, listy zalecające i najlepsze świadectwo dobrych zasad republikańskich. Ów więzień byłto znany wielki badacz natury Latreille.

*Redaktor Jan Nep. Kamiński.* *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*